

Przeżywanie obrzędu

Wanda Drabik

Uczucia towarzyszące obrzędom są w etnograficznych opracowaniach traktowane marginalnie. Pomijają je kwestionariusze, a jeśli nawet odnotowują, opatrzone są pełnym dystansu komentarzem. Do wyjątków należy tekst Jana Dormana¹, w którym obserwacje, zapiski rozmów, stapiają się z osobistymi odczuciami autora. Na taką poetycką wizję mógł sobie pozwolić artysta. Etnograf, choć poruszony i przeżywający, że wizja taka trafniej oddaje sens obrzędu, niż drobiazgowe wyliczanie elementów, szukanie mitologicznych czy pragmatycznych uzasadnień, cofnie się przed nią wstydliwie. W przeświadczeniu, że tego się nie da udowodnić, zignoruje zwierzenia swoich rozmówców, nie dopuści by w nim samym wywołał żywszy rezonans. To mój przypadek. Od lat zajmuję się obrzędami i nieraz byłam świadkiem wzruszeń, które pośpiesznie przerywałam, wracając „do rzeczy”. Dopiero ostatnio, podczas zaawansowanych już badań na Podlasiu, od czasu do czasu rezygnowałam z planowego prowadzenia wywiadu, nie skracałam ani nie porządkowałam wypowiedzi. Rozmowa przebiegała wtedy inaczej, ale bynajmniej nie była chaotyczna. Informatorzy obszernie mówili o uczuciach poprzedzających obrzęd, powstających w trakcie i po jego dopełnieniu. Co więcej, wprowadzenie w nastrój, wywołanie odpowiednich dla rytuału reakcji emocjonalnych (śmiechu, płaczu, strachu czy wstydu) uważali za „obowiązkowe”, czyli znaczące i warunkujące powodzenie.

W obrzędowym kontekście indywidualne przeżycia wyrażano w przyjęty dla danej społeczności sposób, zależnie od płci, wieku, stanu, a także odgrywanej w rytuale roli. Poddawano je etycznym i estetycznym ocenom. Należało je okazywać „ładnie”, co nie wszędzie znaczyło to samo. We wsiach szlacheckich ceni się powściągliwość, nawet na pogrzebie nie wypada głośno płakać, wszelka ostentacja jest „chamska” lub, co gorsza, „pogańska”. We wsiach chłopskich „ładnie” równa się „szczerze”, a więc wyraziście, choć i tam przesada jest źle widziana. Bariery spontaniczności stawia nie tylko obyczaj, ale obrzędowe zakazy i nakazy. To one przypominały komu, gdzie, kiedy i co przystoi, pod groźbą nadprzyrodzonych sankcji. Niektóre obowiązywały lokalnie, np. młoda para w okolicy Radzyna nie śmieje się na weselu, żeby nie mieć „głupich dzieci”. Inne były szeroko rozpowszechnione, jak ten zabraniający matce płakać po zmarłym dziecku, by nie utrudnić mu drogi do nieba. Nie należało też przedłużać żalu po innych zmarłych, bo nieboszczyk mógł się przyśnić lub przywidzieć z wiadrami pełnymi łez, które dźwiga, by je wylać w Zaduszkę. Jednak okresy żałobnego wspominania różnią się znacznie w blisko nawet położonych wsiach: „Tu po pogrzebie i dzień po pogrzebie, i 8 dnia, ale gdzie indziej to na 7 dzień albo na 9, albo na 14 i na 30 dzień” (Suchodolina k. Sokółki). W tych dniach pozwalano jeszcze płakać, ale tylko kobietom, rodzina zaś nie pracowała w polu, bo „robotę się psuła”. Złych skutków spodziewano się dopiero po świadomym naruszeniu zakazu.

Jeśli uczestnik nie odczuwał tego, czego oczekiwano, bywało że posuwał się do symulacji. Liczył się przy tym nie tyle z opinią współmieszkańców, co z karą sił nadprzyrodzonych. Panna Młoda, która nie zapłakała przy powtarzających się kilkakrotnie na weselu pożegnaniach – „potem będzie płakać”. Skoro nie rozrzewniały jej smętne śpiewy, używała cebuli. Jest nawet przyspiewka:

Daj ty młოდuczcy, cybuli w oczy,
Kab zapłakała do swykruchy iduczcy

(Wyrki – Połód k. Włodawy)

Płakać powinna też matka młodej, ale innym uczestnikom, zwłaszcza świekrze, płaczu zabraniano – bo „sprowadzi co złego”. Przeciwnie, wypadało się wiele śmiać, a koniecznie w kulminacyjnych momentach wesela (po powrocie ze ślubu, przy oczepinach, pokładzinach), żeby młodzi mieli „lekkie i wesołe” życie. „Kiedyś śmiechem, żartami i głupstwo zaśpiewali, i płakali (...) a teraz, to ni w pięć ni w dziewięć” (Siedliszcze k. Włodawy). Na zachowanie i wyraz twarzy młodej pary zwracano baczną uwagę przy swatach i podczas wesela, wróżąc stąd o przyszłym pożyciu. Sądono więc, że gdyby dziewczyna nie okazywała zawstydenia, nie broniła się przed frywolnymi zaczepkami, nie bała się, kiedy ją straszono – nie będzie „dobrą żoną” albo „ona będzie panować” (nad mężem). Z kolei kawaler miał być śmiały i z poczuciem humoru. Od zdolności rozbawiania ludzi, umiejętności improwizacji, zależało powierzenie mu roli starszego drużby albo np. „Dziada”, „Żyda” czy „Cygana”.

Zmarłego trzeba było oplakać, inaczej „chodził po śmierci”, a nawet wyrządzał szkody. Do rodziny należało „użalić się” nad zmarłym, ale nierzadko wspomagały ją w tym doświadczone kobiety, po które specjalnie posyłało. We wsiach prawosławnych, prawie każda starsza kobieta umie zwracać się do zmarłego oraz pobudzić do płaczu jego krewnych. Toteż często proszono je, by przyszły „płakać” w katolickim domu. U katolików takie specjalistki zdarzają się sporadycznie. O skuteczności ich praktyk przekonałam się osobiście, gdy jedna z nich zechciała je przy mnie odtworzyć. Wpierała jednak spytała o bliskich mi zmarłych, wspominała swoich, wdychając i cieniutko zawodząc. Dalej, zawodzenie przeszło w płacz, w który wplatała zdania wypowiedziane w moim imieniu. Niestety, niczego nie zapisałam, bo już płakałam wraz z nią. Wyrażnie ją to ucieszyło, pogłaskała mnie po ręce, uśmiechnęła się i wróciła do rozmowy (Nowodziel k. Kuźnicy Białostockiej). Od niej i od innych kobiet wiem, że żał się najpierw potęguje, przywołując dobrodziejstwa zmarłego, nieodwracalność jego odejścia, obraz osamotnienia, żeby gdy już smutek osiągnie kulminacyjny poziom, stopniowo go łagodzić opisem raju i nadzieją ponownego tam spotkania.

Podobny schemat powtarzają pieśni religijne, a raczej pełny ich zestaw, śpiewane przy tej okazji. Od *Już idę do grobu ciemnego, smutnego...* po *Jezu w Ogródcu mdlejący...* lub temu podobne. W Mińsku, dzięki uprzejmości tamtejszych folklorystów, słuchałam taśmy z nagraniem pogrzebu, podczas którego matka oplakuje córkę. Uderzyła mnie niezwykła uroda tego lamentu; melodyjny płacz, poetyckie metafory. Doprawdy, trudno przecenić możliwość wyrażania bólu w tak pięknej formie. Moja podlaska rozmówczyni pokazała mi jeszcze, jak postępuje się w przypadku zeszytwnienia zwłok, zanim je przyodziano do trumny. „Przeszłego roku człowiek zmarł i dowiedzieli się o tym na drugi dzień i był cały sztywny. Była to osoba dla niej obca, ale zwracała się doń jak do krewnego, łagodnym i proszącym głosem: «Och Boże, ach bratoczek ty mój, ja ciebie wyprawlu w daleku drogu. A Stasienu, ja ciebie na wieczność odzieju (...)» Ta stał jak żywy, zmieł i popuściło go”. Wielokrotnie, od naocznych świadków, słyszałam potwierdzenie efektów takiego działania. Smutek i powaga obowiązują do końca pogrzebu, ale już na

żałobnym „obiedzie” wspomina się wesołe momenty z życia nieboszczyka, dopuszczalne są żarty, a nie brak ich podczas późniejszych „wspominek”.²

Przy chrzcie albo po powrocie ze chrztu, zapłakać i to głośno, powinno dziecko. Jeśli tego nie zrobiło, pomagano mu kłapsem – „żeby było mocne” lub „żeby odgoniło złego”. Przewlekły płacz był jednak niepomyślną wróżbą, toteż dziecko jak najszybciej uciszano. Od pozostałych uczestników oczekiwano wesołości i śmiechu, wzbudzanego dowcipnymi przyspiewkami i „zbytami” robionymi zwłaszcza kumom.

W obrzędach dorocznych śmiech przeważnie bywał dopelniany strachem, czasem bólem lub inną przykrością, co manifestowano krzykiem i piskami, byle nie płaczem, który nie był dobrze widziany. Postraszyć można było każdego, ale dzieci i panny „obowiązkowo”, co im ponoć wychodziło „na zdrowie” i wpływało na posłuszeństwo. Straszili je wszyscy przebierańcy, „ale nie za bardzo, bo człowiek ma pojęcie, żeby życia nie pozbyć” (Tuczna k. Białej). Dzieci, zanim „Mikołaj” dał im podarki, były przez niego straszone, niekiedy i bite. W Niedzielę Palmową dzieci bito wierzbowymi gałązkami, ale było i tak, że to dzieci biły dorosłych, czy też kawalerowie panny, rzadziej nawzajem. Bito mocno, aż do zranienia, a koniecznie do krzyku, i to również „na zdrowie”. Jednocześnie nadmierną strachliwość uważano za niepożądaną. Lekliwych ludzi nakłaniano do nocnego czuwania przy zmarłym, żeby potem „nie bał się niczego”. Dzieciom, po poświęceniu *gromnicy*, opalano z czterech stron włosy, co chroniło od pioruna, ale też od lęku przed nim. Okadzano je wianuszkami święconymi w oktawę Bożego Ciała lub w dniu św. Jana – „od przełku”. Robiły to profilaktycznie matki, gdy jednak wcześniej stwierdziły niepokojące objawy: „Jak dziecko chude, marudzi, nie wie czego chce, to on przeleknięty”, wtedy „Woła się kobietę, co nie kwitnie, przekwitła. Jak jest w ciąży, to nie może być w ciąży, bo (jej) dziecko umrze”. Ta kobieta wybierała z wianeczków zioła, również zwane *przelekciem* – „Biała przelek, to dla dziewczynków; czerwony przelek, to dla chłopców” i kruszyła na rozżarzone na patelni węgielki. Wylewała na wodę wosk, a to, co się ułało, wyobrażało powód przełku i również było kruszone na ogień. Trzymając oburącz patelnię, obchodziła stojące na środku izby dziecko „trzy razy ze słonkiem”. Wszyscy przy tym obecni trwali w milczeniu i bezruchu. Potem dziecko ściskali i było uzdrowione (Chroboly k. Knyszyna). Na całym Podlasiu zapewniano mnie o niezawodnym działaniu podobnych zabiegów, stosowanych czasem i u dorosłych, gdy inne formy leczenia zawiodły.

Nastroj obrzędu starano się zestroić z porą roku, którą odbierano jako „wesołą” czy „smutną”, „lekką” czy „ciężką”. Czas „wesoły” przychodził wiosną, choć lokalnie już w Nowy Rok lub jeszcze wcześniej – od Bożego Narodzenia. Z jego nastaniem wszyscy powinni się bawić i cieszyć, toteż „obowiązkowo” urządzano wtedy wspólne ucztę i zabawy (czasem osobno dla młodzieży, osobno dla kobiet i mężczyzn) a to na dobre plony i żeby „sporzyła robota” w polu. „Na zagowia, trzeba było dobrze popić, dobrze zjeść, to z panienkom się pokochać, to mówią – dobrze zagowiał” (Klewianka k. Moniek).³ W Boże Narodzenie albo w Nowy Rok, zapusty czy Wielkanoc, zgodnie z miejscowym terminarzem, obchodzili wieś grupy młodzieży męskiej lub żeńskiej, ze śpiewem i życzeniami, ze scenami odgrywanymi przez przebierańców, a zanim weszły w dom pytały, np.:

Panie gospodarzu, pani gospodyni,
Pozwólcie swój dom poweselić,
Boskim słowem pocieszyć,
Aby dom był wesoły.
Czy weselić, czy nie?

(Kalinówka k. Moniek)

Inne grupy, wtedy lub w odrębnym terminie, wpadały do domów nie czekając na pozwolenie. Atakowały domowników, kradły, robiły nieporządek, wyprawiały „psoty”, „zbytki”, co

również kwitowano śmiechem, a dotkliwe nawet szkody nie budziły gniewu ani obrazy. W Wielkim Poście i w Adwencie ze względów religijnych zachowywano powagę, ale i w tych okresach były okazje do „stypy” (stypa, stypny – znaczy na Podlasiu: dowcipny, zatobliwy, śmieszny) w trakcie rytuałów spełnianych na *pólpoście*, w Niedzielę Palmową, w Wielkim Tygodniu, czy podczas adwentowych *przrędek*. To także wiązano z urodzajem i pomyślnym kojarzeniem małżeństw.

Radość, od niepamiętnych czasów (o czym świadczą najstarsze źródła historyczne) była wpisana w obrzędy, a nie, jak się obecnie przypuszcza, pojawiła się wraz ze zmianą ich funkcji sakralnych na „zabawowe”. Była i pozostała w sferze sacrum. Wszak „weseliło się” słońce na Zwiastowanie, Wielkanoc lub św. Jana i chodzono o wschodzie oglądać, jak „igra” czy „skacze”. „Na św. Jana igra na różne kolory, jak tęcza” (Kożuchów k. Sokołowa) albo „...tańcuje nad zachodem, tańcuje ślicznie, chodzi jak przepiórka” (Jedlanka k. Łukowa). „Wesołe i pachniące” były zielone pola, które obchodzono na św. Jerzego lub św. Trójcę albo w innym wiosenno-letnim terminie. „Radowały się” przylatujące ptaki, a „smutno” odlatywały jesienią. „Wesoły” jest „majowy deszcz”, a w listopadzie „deszcz smutny”. Scenariusze rozpoczynania i kończenia pracy z reguły zawierają postulat wesołości. Dla wielu moich rozmówców, rytualne działania jak np. przewracanie na ziemię, oblewanie wodą zniecacka, obciąganie za nogi wokół ostatnich kłosów, podpalanie kądzieli przedącym, zachowały jedno tylko uzasadnienie – „dla żartów”. Żarty te jednak były dość brutalne, a spowodowany nimi śmiech niekoniecznie wynikał z rozbawienia. Był raczej odreagowaniem momentu zaskoczenia, wstydu, nierzadko i bólu. „Kobieta ubiera przepiórkę, a kośnik stoi i patrzy się, a ona się boi, bo on złapie ją za nogi i obciągnie gołym tyłkiem po rżysku” (Narojki k. Siemiatycz). Można przypuszczać, że podobną funkcję – rozładowania napięcia – pełniły żarty urządzone młodej parze przed pokładzinami. Strach (wstyd, ból) i następujący po nim śmiech, nieodmiennie kojarzone są z płodnością. Wskazują na to i komentarze, i przewidywane rezultaty, i czasem towarzyszące rytuałom teksty.

Emocjonalne względy zdają się lokalnie decydować o wyborze pełni wiosny na porę wesel. „Wesele przeważnie w maju najlepší, w lecie taki ten czas majowy, zieleń, to taki wesoły” (Pawły k. Bielska). Z tej wypowiedzi da się wyczytać ślad dawnego podziału roku na dwie tylko części: lato, którego początek sytuowano w maju, oraz zima zaczynająca się w listopadzie. W obu miesiącach wyróżniano daty dla spełniania obrzędów. Prawosławni na ogół 6–7 maja (św. Jerzego) i 8–9 listopada (św. Dymitra). Katolicy 1–15 maja (św. Zofii) lub ruchome Zielone Świątki oraz 11–25–30 listopada (św. Marcina, św. Katarzyny, św. Andrzeja). Jak każdy czas początku i te stwarzały pomyślnie szanse, a zarazem ryzyko w realizacji podjętych wtedy działań. Jednak wybór tej, a nie innej pory, wiązał się z jej tylko właściwymi cechami, przynosił różnicowane korzyści i zagrożenia. Dla większości Podlasiaków, niebezpieczeństwa związane z majem przeważały nad pożytkami. Toteż obrzędy spełniano częściej w intencji ochrony, niż pomnożenia plonów, dobytku i rodziny, chociaż oba motywy mogły być z sobą splecione. W maju uaktywniały się czarownice i bliżej nieokreślone duchy. Niemal jak w latach Kolberga „...jest tu cały świat niewidomy, podniebny, lubiący światło dzienne, promienie słońca, czyste niebo, powietrze ciche...”⁴. Natomiast o pospolitych wtedy rusalkach – „Rusalki na Podlasiu są dwójakiego rodzaju: jedne szkaradne stare baby, drugie młode, prześliczne dziewczęta”⁵ – zachowały się nikt wspomnienia. Dzisiaj, do dziewczyny z rozpuszczonymi włosami mówi się: „chodzisz jak rusalka”, straszy się dzieci rusalką, by nie deptały zboża, przestrzega się mężczyzn przed samotnymi wędrówkami po lesie, by nie zbłądzili zwiedzeni śmiechem czy śpiewem niewidzialnych istot.

W maju, gospodarze obchodzili z modlitwą i śpiewem podrosłe zboża. Dziewczęta (w okolicy Moniek, Tykocina,

Sokółki) po polach „wodziły Królowę”. Pasterze pierwszy raz wyganiały bydło na pastwiska. „Cała wiosna w maju... to cała wieś goniła (bydło) i wianki ubierali” (Dołhobrody k. Włodawy). „Bydło wypędzało się 1 maja na paszę. Gospodarz wyganiał do bramy i palmą żegnał...” (Zahorów k. Białej). „Każdego bydlaka trzeba uderzyć, to będzie tłusty, dobrze się chował i jego piorun nie uderzy” (Klewianka k. Moniek). Na Zielone Świątki lub św. Trójcę, sporadycznie na św. Jana, przypadało „święto” albo „wesele” bydła. Pasterze *maili* rogi krów wiankami z lipy, brzozy, bzu (...) i przyginali do zagród, także wtedy *umajonych* tymi samymi roślinami. Dostawali za to *majówkę*, czyli podarki lub pieniądze, zwykle przeznaczane na wieczorną zabawę. Jeszcze po II wojnie było to szeroko praktykowane, choć w skromniejszej formie, niż opisane przez Glogera „...tak zwane wołowe lub końskie wesele, obrzęd około Tykocina i Bielska zachowywany (...) Wół przestraszony tem wszystkim, więc zaledwie go do wsi przywiodą: biega, skacze i rzuca się na wszystkie strony, usiłując pozbyć się niezwykłych straszylek, co wśród zebranej gromady wiejskiej, sprawia śmiech i wrzawę.”⁶ Z rzadka słyszy się jeszcze o bocianim albo wilczym „weselu”, o weselnikach zamienionych w wilki lub innych związkach wilka z weselem np.: „Stary człowiek podsłuchał w Wigilię, jak Pan Bóg dzielił dostatki. Podzielił wszystkie zwierzęta, a na koniec przyszedł kulawy wilk, a Bóg mówi: co ty się tak spóźnił? No, to tobie będzie ten, co tam siedzi (tu wskazał kryjówkę podsłuchującego). On uciekł do wsi, ale wiosną córkę wydawał i jak ją predany przewozili, to ojciec się bojał jechać przez las. To go do kuferka wsadzili. Jadą przez las, a tu kulawa panna idzie, nie było jej gdzie zabrać, to i ją do kuferka wsadzili. Śmiechu było! Przyjeżdżają do domu, otwierają kufer, a stamtąd wilk wyskakuje” (Żurobice k. Siemiatycz). Notabene kulawość (huśtanie, zataczanie i inne przejawy zachwiania równowagi), odpowiada obrzędowej zmianie czasu, stanu, momentowi wahania pomiędzy starym a nowym.⁷ W kontekście wesela jest to bezpośrednio skojarzone z seksem. Stąd rozpowszechnione na Podlasiu rytuały po ożeninach, gdy młoda panna utyka w tańcu, drużbowie kradną jej pantofelek i oddają młodemu po złożeniu „wykupu”, pojawia się kulejący przebieraniec, który straszy i napastuje, co naturalnie wywołuje śmiech. Strach i śmiech powoduje także obrzędowe huśtanie pańien i kawalerów, często zakazywane z powodu licznych wypadków, jako że huśtawki były wysokie i huśtano się „do nieba”, czego jednak do seksu nie odnoszono, a „na pamiątkę” Wielkanocy, Zielonych Świątek albo „że to maj”. Maj, aż do czerwcowych sianokosów, był najczęściej wymienianym okresem, kiedy to zwierzęta i ludzie łączą się w pary, bo „Bóg zestawiał wszystko po parze” (Dobryń Mały k. Białej). Odbywały się wtedy *majówki*, zwykle rozpoczynane nabożeństwem maryjnym, a potem do późnej nocy młodzi spacerowali, śpiewali pieśni miłosne, zalecali się do siebie – także we wsiach szlacheckich. „Przez cały maj zabawy, huśtawki, huśłócy z dziewczynami się wodzą, palili ogniska... w lesie dziewczyny się bawiły i nie było tyle dzieci wcześniej urodzonych” (Borowskie k. Białegostoku).

Jesienią, gdy opustoszały pola, odleciały ptaki, nastawał czas „smutny”, „ciężki”, a nawet „straszny”. Szczególnie listopad, miesiąc powszechnie uważany za nieodpowiedni na wesele „...w listopadzie nie biorą ślubu, bo to ciężki miesiąc, to tam wierzą w te zabobony” (Wyhalew k. Białej). W listopadzie, tak katolicy jak prawosławni, obchodzą Zaduszki (dla prawosławnych „Dmitrówka” jest jednym z kilku dorocznych terminów zadusznych). Od ich daty zaczyna się okres obrzędowego straszenia, trwa przez całą zimę, a lokalnie do Wielkanocy. Koło Moniek w same Zaduszki, a bliżej Sokółki i Hajnówki na św. Marcina lub w trakcie adwentowych *prządek*, chodzili do wsi chłopcy owinięci w prześcieradła albo kożuchy. Nosili na tyłce wydrażoną i podświetloną

dynię z wyciętymi oczami, nosem i ustami – „To strachy i się zdaje, że to duchy chodzą” (Klewianka k. Moniek). W tej okolicy, na św. Andrzeja, kawalerowie mazali panny sadzą, czasem przy tym drapali je do krwi i bili. Przeważnie jednak takie i podobne działania miały miejsce w noc noworoczną, zapusty lub śródpoście. Dopóki nie wchodziły się w to władze, nakładając kary na sprawców. Moi rozmówcy z niesmakiem wspominali tych, co zamiast się „ośmiać”, składali skargi w urzędzie. Reakcje strachu czy bólu mogły się oczywiście pojawiać i w później spełnianych obrzędach, nie były jednak świadomie prowokowane. Wyjątkiem były wesela, na których bójki, straszenie, były rozmyślnie wywoływane, ale przecież wesela najczęściej wyprawiano w karnawale. Obrzędy końca karnawału lub połowy Wielkiego Postu, zwykle dawały okazję publicznego wytykania i wyśmiewania wad, piętnowania młodych ociągających się z zawarciem małżeństwa. Krytykę, wprost lub w zawołanej formie, przyjmowano wtedy bez urazy.

Pogodę ducha, życzliwe nastawienie do bliźnich, a nawet do zwierząt, roślin i przedmiotów, uważano za nieodzowny warunek powodzenia obrzędu. „Jak w Wigilię, tak cały rok – jak płaczesz, będziesz cały rok płakać. Tak się starali, żeby w zgodzie, ludzie byli takie pogodniejsze” (Chroboły k. Knyszyna). „W Nowy Rok, jeżeli ktoś gniewa się rano, to cały rok będzie niedobry, gniewliwy” (Zahorów k. Białej). „W Wielkanoc wszyscy mają być uprzejmi i życzliwi, bo tak będzie cały rok” (Dołhobrody k. Włodawy). Cokolwiek się w takim dniu robiło, należało robić starannie i „bez złości”, a zwłaszcza przygotowanie potraw i rekwizytów obrzędowych. Złorzeczenie, przekleństwo, popędliwy gest, natychmiast lub w bliskiej przyszłości przynosiły nieszczęście. Unikano narażenia się komuś, unikano ludzi dotkniętych żalobą, chorych, poszkodowanych – spotkanie ich jako pierwszych przechodzących, było złą wróżbą. Szczególnie wystrzegali się kobiety w ciąży, które zresztą przez cały czas jej trwania starały się „...patrzeć na wszystko dobre, na dobre i na złe” (Chroboły k. Knyszyna). Równocześnie wierzono, że dobre czy złe życzenie wypowiedziane lub tylko pomyślane przez ciężarną, niechybnie się spełni. Podobna moc przysługiwała życzeniom dzieci, starców, żebraków i obcych, ale tylko w okresie obrzędowym. Był to zarazem czas, gdy najłatwiej było zyskać coś cudzym kosztem, jednak złoczyńca właśnie wtedy był odsłonięty i prostymi sposobami można go było rozpoznać i ukarać, a właściwie odwrócić zło w jego stronę. Cały szereg zakazów i nakazów dotyczył odwiedzanych i odwiedzających w obrzędowej porze, również spotykających się na drodze, na miedzy czy pod kościołem. Zachowanie etykiety (różniące się szczególnie w poszczególnych wsiach), przekonuje o dobrych intencjach obu stron. Wszędzie zaczynało od pozdrowienia Boga i złożenia życzeń, a jeśli ktoś specjalnie w tym celu przychodził, należało go ugościć i obdarować. Bywało, że to przychodzący składali dar (odwiedziny położył, poczętek żniw...), a odchodzili żegnani życzeniami, bądź też życzone i obdarzane się wzajemnie. Kto poskąpił lub zwlekał, narażał się na kpiny, a nawet przekleństwa, nie wspominając o nadprzyrodzonych konsekwencjach.

Przygotowania do obrzędu niejednokrotnie obejmowały naprawienie krzywd, oddanie długów, poniechania urazy. Słowem, pozybcia się tego, co związane z przesłodzią, ciążyłoby na przyszłości. Rzadko miało to formę rozwiniętego rytuału. W Waniewie nad Narwią, przepraszały się „na czarną kurkę”: przepraszący bierze pod (dowolną) pachę czarną kurkę, idzie do domu przeproszanego, mówi – „nie gniewaj się” i kurkę zabiera z powrotem. Pozwalało to uniknąć kłopotliwych usprawiedliwień, wysłuchiwanie pretensji czy dociekania winy – zło przeczodziło na kurkę. W okolicach Włodawy znają już tylko zwrot „przeprasza na czarną kurkę” i odnoszą go do tych, co się ociągają z przeprosinami. Młoda para, zapraszając na

wesele, wstępowała do każdej chaty (formalnym zaproszeniem były dopiero powtórne odwiedziny), a składając się głęboko przed każdym domownikiem, prosiła o wybaczenie i błogosławieństwo na „nowe życie”. Rytuał miał kilka wariantów i różne nazwy, w tym najczęściej „ukłony”. Bywał powtarzany przed wyjazdem do ślubu, przed przenosinami, a kłaniano się także wszystkim spotykanym po drodze. Przed pogrzebem w imieniu zmarłego przeprosza rodzina, bierze też na siebie jego zobowiązania, żeby go „wyzwolić”. Czasem odbywa się to dopiero przy granicznym krzyżu (okolice Sokółki, Knyszyna i Białegostoku), dokąd trumnę odprowadza „cała wieś”, a dalej idą sami bliscy. Nad otwartą po raz ostatni trumną, prowadzący pogrzeb wygłasza formułkę albo kobiety z rodziny obchodzą pozostałe kobiety, kłaniają się i szepczą „nie gniewaj się”, to samo robią mężczyźni z rodziny wobec innych mężczyzn.

Do przeżycia obrzędu przygotowują także posty, które oczyszczają ciała i dusze, czynią je „lekkimi”, podatniejszymi na dobre wpływy. Starsi ludzie, pomimo złagodzenia rygorów religijnych, nadal skrupulatnie ich przestrzegają, uważając, że bez postu „to nie święta”. Poza postami zachowywanymi ze względów religijnych, są i takie, dla których nie znajdują religijnego uzasadnienia np. w dniu św. Marka (katolicy na pn.-wsch. Podlasia), stąd przysłowie: „Na święty Marka, nie rzucaj do zupy skwarka”. Koresponduje z nimi drugie: „Deszcz na św. Marek, to ziemia jak skwarek” – czyli susza w maju-czerwcu. Św. Marek (24IV) był jednym z kilku wyróżnianych patronów wiosny i deszczu, wyznaczał też ostatni możliwy termin Wielkanocy: „Jak Wielkanoc wypadnie na Marka, to nie będzie na świecie niedowiarka”. Podobnie granicznym terminem (zimy, Adwentu) był św. Andrzej, a pościły wtedy zwłaszcza panny, zanim przystąpiły do matrymonialnych wróżb. Post zachowywały rodziny przed rocznicową uctwą dla uczczenia zmarłego, a prawosławni przed wszystkimi zadusznymi „wspominkami”. U prawosławnych pościłi także państwo młodzi w przeddzień wesela i dopiero po powrocie od ślubu matka wprowadzała ich do komory, sadzała przy stole, na którym stała jajecznicą, korowaj, chleb i wódka. Był to ich pierwszy wspólny posiłek, spożywany w odosobnieniu, z jednego talerza. Goście zebrani w izbie weselnej mówili: „Na jajesnie poszły młody, z jednego tańka jedzą” (Pawły k. Bielska). Zastanawiające, że krótkotrwałym postom poddawane były również zwierzęta, zanim gospodarze „poczęstowali” je resztkami rytualnych potraw. Z reguły, wybrane gatunki zwierząt były przy tym pominięte, ale nie wszędzie te same. Przeważnie pomijano świnię, psy, koty, rzadziej konie. Tłumaczono to ich „nieczystością”, kontaktami z diabłem, odmową pomocy Matce Boskiej lub innym świętem albo „... a koniowi nie, bo koń przed Panem Jezusem nie klęknął i wygląda jak bolszewik” (Mokobody k. Węgrowska). Analogicznie, tylko niektóre rośliny były przedmiotem, a nawet podmiotem (dialogi z jabłonią czy gruszą przy ich obwiązywaniu) rytuałów, inne np. osikę – „bo się trzęsie”, olchę – bo ma „czerwoną” (jak krew) korę z zasady wykluczano przy sporządzaniu rekwizytów, zdobieniu domów itp.

Obok znaczenia, jakie przypisywano elementom obrzędowym, liczył się też ich estetyczny aspekt: np. do przynoszonej do domu po żniwach *równianki* dodawano „... kwiaty do ładności, żeby było ładne” (Klewianka k. Moniek). Po I wojnie „Herody” wyparły dawniejsze formy obrzędowe przebierańców, bo uznano je za „najweselsze”, „najbogatsze”, „najładniejsze” oraz, o dziwo, dlatego że wymagały najdłuższych przygotowań i najwięcej kosztowały. Stały się więc sprawdzianem możliwości wiejskich kawalerów, a inne mniej atrakcyjne występy, pozostawiono wyrostkom. „Herody” były chętnie przyjmowane i we wsiach szlacheckich, i w prawosławnych, a w latach 50. prawosławni zaczęli je sami wystawiać. Nieobca moim rozmówcom była chęć pokazania się, ważne więc było, żeby dom, nakryty stół czy palma wielkanocna, były nie tylko „ładne”, ale „najładniejsze”.

Uroda, jak każda inna cecha w stopniu skrajnym, jest znakiem wyróżnienia, przychylnością sił nadprzyrodzonych. Posiadające ją osoby czy przedmioty, zostają tym samym przeciwstawione pozostałym. Jeśli role w rytuale są wartościowane pod względem ważności, to z zasady prowadzenie przejmują osoby o cechach wyjątkowych albo wskazane losem: pierwsze napotkane, zwyciężające w zawodach itd. Przysługuje im też najwięcej szczęścia – kto pierwszy przybiegnie po Pasterkę (po Rezurekcji...) do domu, ten pierwszy zakończy żniwa – mogą jednak podzielić się nim z innymi, np. wstępując do ich domów z życzeniami. Preferowanie skrajności, symbolicznie odpowiada ostatniemu – pierwszemu dniu w roku (sezonie), najstarszemu – najmłodszemu członkowi rodziny (zbiorowości), mitycznemu obrazowi nieustannie wycepującego się i odnawiającego się czasu, zamierającego i odradzającego się życia.

Przeżycie obrzędu to również pełne nadziei i obaw oczekiwanie. Przyjęcie i poznanie swojej roli oraz ról współuczestników. To wypełnianie warunków wstępnych, dotyczących ciała i duszy; a także otoczenia, spełniającej obrzęd osoby. Wreszcie udział w tajemniczym misterium zamykania przeszłości i wchodzenia w przyszłość, którą tylko teraz można podglądać i nią sterować. Wszystko staje się niezwykle. Każdy detal staje się ważny i wypełniony treścią, np. strój, kontakt z rekwizytem, założenie maski bądź spotkanie z osobą zamaskowaną. Przekraczanie codziennych norm współżycia i poddanie się normom (zakazy i nakazy), które na co dzień nie obowiązują. Widziałam, jak niezbyt, wydawało się, rozgarnięte wyrostki stawały się zręcznymi, tryskającymi siłą i humorem bohaterami. Jak skromna kobieta, która nieśmiało zaprosiła mnie na wesele, witała mnie później z godnością i pewnością siebie starościny. Wesele było inscenizowane, ale publiczność stopniowo wchodziła w role weselnych gości; komentowała nie „grę”, a zachowanie postaci, wstawała w kulminacyjnych momentach, wrzeszczała się, a nawet czynnie włączała w akcję.

Dla moich rozmówców, uczestnictwo w obrzędzie, choćby odległe, było mocnym i różnym od innych życiowych doświadczeń, doznaniem łączności z Nadprzyrodzonym. Przeżyciem, za którym się tęskni i długo przechowuje w pamięci.

PRZYPISY

¹ J. Dorman, *Moje uwagi i spostrzeżenia na marginesie imprezy „Herody”*, „Polska Sztuka Ludowa” 1971, nr 4, s. 217–230.

² Rozluźnieniu nadal sprzyjała też wódka, mimo powtarzanych od ubiegłego stulecia zakazów kościelnych, obficie podawana. „Niektórzy z Puszczaków utrzymują, że dla ulżenia duszy cierpiącej zmarłego, sąsiedzi pozostali koniecznie dobrze pić muszą”, *Dziela wszystkie Oskara Kolberga* (dalej DWOK), t. 28, s. 123.

³ „Zagówki”, „zagowia” nazwa ostatnich dni przed Wielkim Postem, używana w okolicy Moniek i Sokółki (por. bułgarskie – „zagowezni”). Kolberg przytacza list korespondenta z Suwałk: „Zapusty, rozpusty – tak lud

wiejski nazywa Ostatki – a chociaż w tej dykcji zawiera się niby-to satyra na dnie bachusowe, przecież jest przysłowie które przekonywało, że rozpusta tych czasów za wielki grzech nie uchodzi...” DWOK, t. 28, s. 79.

⁴ A.P...łowicz z ok. Narwi, „Gazeta Warszawska” 1854, wg DWOK, t. 28, s. 367.

⁵ j.w.

⁶ DWOK, t. 28, s. 88.

⁷ Por. A. Lebeuf, *Les boiteries rituelles de printemps*, (w:) *Publication de l'Observatoire Astronomique de Strasbourg*, Nr 2, 1988, s. 81–94.